

Kronika tygodniowa.

Przyznam się Szanownym Czytelnikom, że obecna wojna już mi zaczyna bokiem wylażyć, jakie zaś są tego powody, postaram się poniżej wyluszczyć, wychodząc z tej zasady, iż każda boleść, jeśli jest podzieloną, staje się lżejszą i łatwiejszą do zniesienia.

Kłopoty moje, nazwijmy je wojenne, dadzą się podzielić na dwie główne grupy, redakcyjne, czyli urzędowe i czysto osobiste.

Przedewszystkiem więc przez cały tydzień muszę się zajmować sprawami wojennymi, by wyciągnąć z różnych wiadomości i plotek właściwy ekstrakt, któryby można było podać Czytelnikom. A jest to zadanie nielada, wszystkie bowiem pogłoski trzeba przesiewać przez bardzo gęste sito, w drukowanych zaś sprawozdaniach trzeba umieć czytać w wierszach i między nimi.

Zważywszy zaś, że moja główna kwatery prasowa znajduje się w Krakowie, a depesze mógłbym odbierać tylko przy pomocy telegrafu bez drutu, a takim nie rozporządzam, jestem więc, jak to powiadają, niczem tabaka w rogu, wobec czego może się łatwo wydarzyć, iż niejedna moja informacja, aczkolwiek podana bardzo ostrożnie, może się okazać niezupełnie prawdziwą.

Proszę więc o pobłażliwość, gdyż żaden kronikarz, nawet „Nowości illustrowanych“, nie jest nieomylny.

Nie wiem dlaczego, ale obywatelom rozszerzonego Krakowa wydaje się, iż dziennikarz, to człowiek dziś uprzywilejowany, który wie bardzo dużo, ale nie chce powiedzieć.

Każdy więc prosi, by go wtajemniczyć w *arcana* polityki i klnie się na wszelkie świętości, nawet na brodę Mahometa iż wszystko zachowa tylko dla swej własnej wiadomości, a nikomu słowa nie piśnie.

Dobrze się składa, że telefon nie funkcjonuje, przynajmniej z tej strony mamy spokój.

Pierwszym „interwierem“, który zaraz rano składa mi wizytę w mem mieszkaniu, jest mój gospodarz. Nie sprawia mi to zbytniej przyjemności, gdyż, muszę się przyznać w sekrecie, zalegam doń z czynszem, obiecuję przecież, że go wyrównam, skoro tylko sytuacja się poprawi, kiedy to jednak nastąpi, nie mogę z góry przewidzieć, gdyż nie jestem prorokiem.

Trzeba przecież zrobić, jak mówi Niemiec: *Gute Miene zu bösem Spiel*, witam go więc grzecznie:

— Jakież okoliczności mam zawdzięczać ten zaszczyt, iż pan radca osobiście raczy się fatygować?... Zapewne w sprawie czynszu?

— Skądżeby znowu! Ja wiem, że pan literata (tego wyrażenia stale używa), jeśli będzie miał, to zapłaci... Ja tam, panie kochany, nie jestem z tych, o których pan pisał w poprzedniej kronice! Jabym w tych czasach darował wszystkim lokatorom zaległe czynsze, boję się jednak, aby moi koledzy, kamienicznicy, dowiedziawszy się o tem, nie zapakowali mnie do czubków, jako niebezpiecznego wariata... Przyszedłem tylko po to, by się dowiedzieć, co właściwie słysząc w świecie.

— Panie radco dobrodzieju! Wiem tylko tyle, co i pan.

— El... Gadanie!... Panowie wiecie wszystko, tylko udajecie, że nic nie wiecie...

— Ależ... jak Boga kocham, wiem tyle, co jest w gazecie, a to samo wie i pan dobrodzieju...

— A jednak ja temu nie wierzę! Niech mi pan, powie przynajmniej, czy to prawda, że Moskale są już w Trzcinie?

— To panu powiedzieć mogę! Są, bo byli! Przedoma miesiącami przejeżdżałem przez Trzebinę własnoręcznie zjadłem cztery w restauracji kolejowej. Sztuka po sześć halerzy... Trochę za drogo!

— Ale ja nie pytam o takie bez głowy z puszek baryłki, ale całkiem żywe, z głową...

— W tym względzie nie mogę służyć informacją!

— Gdyby pan jednak dowiedział się czegoś pewnego, proszę wpaść do mnie na minutkę... A niech tam pan łaskawy nie zapomina o czynszu... Już dziś piętnasty. Teraz ciężkie czasy...

Zaledwie wyszedł i ja dokończyłem toalety i wybrałem się w drogę do redakcji.

W sieni zastąpiła mi stróżka drogę.

— Całuję rączki wielmożnego pana! A co tam słysząc, proszę pana, na świecie? Mówiła mi strażniczka z przeciwka, że Moskale spalili Rzym i wzięli Ojca świętego do niewoli...

— To błaga, moja kobiecino! Ojciec święty ma

się zupełnie dobrze, Rzymowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo... Kupcie sobie zresztą gazetę, to się dowiecie!

— Co mi tam po gazecie! Mój mąż chodzi codziennie do Siapsi na kubek i stamtąd przynosi różne wiadomości, nawet takie, których w gazecie nie było...

Pożegnałem ją, na ulicy spotkał mnie znajomy i zaczął:

— Sługa kochanego redaktora! Cóż tam nowego?

— A nic!... Sniły mi się doskonałe numery na loteryę... Może pan postawi?

— Nie o to mi się rozchodzi!... Co słysząc w polityce?

— Także nic nowego!... Turcy są już w Konstantynopolu...

— Cóż pan łaskawy mówi? W Konstantynopolu?... Żegnam pana, muszę lecieć do domu i opowiedzieć to żonie, bo ona o dziewiątej idzie do świętej Barbary na mszę, tam spotyka się z przyjaciółkami, więc im opowie. A pan wie, jaka każda baba dumna, gdy może przynieść przyjaciółkom nowinę!...

Pozbyłem się jednego, potem drugiego i trzeciego, nawet konduktorka w tramwaju dopytywała się o sytuację na terenie wojny, gdyż tam walczy jej cioteczny szwagier.

Wreszcie dopłynąłem do portu, to jest znalazłem się w lokalu redakcyjnym.

Tutaj czekał na mnie jakiś wygolony jegomość.

— Pardon!... Czy mam przyjemność z panem kronikarzem? — zapytał, podnosząc się z trudnością z krzesła.

Ponieważ nie wymawiał litery „r“, dolne odnóża zaś wykazywały lekkie tabes, domyśliłem się, że mam przed sobą naszego galicyjskiego arystokratę.

I jak się później pokazało, nie pomyliłem się wcale.

— Tak! — odparłem — Proszę, niech pan zajmie miejsce!... Czem mogę służyć?

— Najpierw pozwól pan, że się przedstawię... Jestem hrabia X...

— Bardzo mi przyjemnie! Cóż pana hrabiego do nas sprowadza?

— Wojna, panie... Wojna!...

— Niestety, nie mogę służyć bliższymi informacjami, nasz specjalny sprawozdawca wojenny jeszcze nie wrócił z pola bitwy... Przychodzi do redakcji z zasady dopiero koło dziesiątej...

— Ja też nie jestem ciekawy, co słysząc na polu bitwy, bo o tem mogę się dowiedzieć z telegramów, zaintrygował mnie jednak los księcia Monaco, o którym pan wspominał w poprzedniej kronice... Więc w rzeczywistości wypowiedział nam wojnę?

— Podobno! Dla pewności radziłbym jednak zwrócić się do ekszellency Berchtolda z zapytaniem. Moje informacje mogą być błędne...

— Dobrze, proszę pana, właśnie jadę do Wiednia! A czy nie wie pan, gdzie obecnie przebywa książę Monaco?

— Nie mogę służyć! W każdym razie albo u siebie w kraju, albo gdzieindziej!

— A czy pan nie zna bliższego jego adresu?

— Niestety! Mogę jednak zwrócić się do naszego korespondenta w Monte Carlo z zapytaniem...

— Bardzo byłbym wdzięczny... A jak prędko mogłaby nadejść odpowiedź?

— Dopiero po wojnie...

— Hm!... Tak długo nie mogę czekać!... Szkoda, że panowie nie wiedzą... Ja z księciem Monaco znam się bardzo dobrze... Straciłem tam cały... to jest, chciałem powiedzieć... spędziłem przy jego boku bardzo miłe chwile... Żegnam pana!

— Najniższy sługa pana hrabiego dobrodzieja! Proszę zostawić adres, jeśli się czegoś pewnego dowiem, nie omieszkać donieść...

Z kolei zjawił się w pokoju redakcyjnym obywatel z Krowdzy z prośbą o informację, jak wygląda czterdziestodwucentymetrowy moździerz i zapytaniem, czy Redakcja nie posiada takiego okazu, by mógł go oglądnąć, wreszcie pewna dama, chcąc się dowiedzieć, jak najlepiej kusić kapustę, by wytrzymała czas oblężenia. Ktoś jej powiedział, że Kraków może się przez dziesięć lat opierać wrogowi, gospodarna niewiasta chciała więc zaopatrzyć się na ten okres czasu w odpowiednie zapasy, zwłaszcza zaś kapusty, gdyż tak ona, jak i mąż i cała rodzina przepada za tym smakołykiem.

Obywatelowi wytłumaczyłem, że moździerz to armata, która robi tyle hałasu, co nie przymierzając kłótnia żona lub teściowa, spustoszenia zaś jeszcze większe, niż mąż, wracający pod dobrą datą w progi domowego ogniska.

Zdaje mi się, że uwierzył moim słowom, pokiwał bowiem smutnie głową i odszedł, nie pytając więcej.

Trudniejsza sprawa była z niewiastą. Przeprosiłem ją, iż na kiseniu kapusty zupełnie się nie znam, nie posiadamy też w redakcji odpowiedniego referenta, co ją ogromnie zdziwiło. Odesłałem ją do „Praktycznych przepisów gospodarskich“, wydanych przez s. p. Lucynę Cwierciakiewiczową, jedyną z piszących kobiet, o której mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że jej dzieła mi smakują.

Tak zeszedł mi czas do samego obiadu. Już wychodziłem z lokalu redakcyjnego, by odpocząć „pod Palmą“, lub rozmyślać „pod Obrazem“, na progu jeszcze zatrzymał mnie jakiś strategik, obładowany mapami i książkami, prosząc o wyrażenie opinii, (rzecz prosta, dodał „światła“) co do kwestyi, czy szrapnele siałoby takie spustoszenie, gdyby były wypełnione piaskiem, nie ekrazytem.

Doradziłem mu, by się zgłosił do arsenału, a tam mu wszystko fachowo wytłumaczą.

Powrotna droga nie różniła się niczem od tej, jaką zrobiłem idąc w tą stronę, odetchnąłem dopiero, a przynajmniej sądziłem, że odetchnę, gdy się znalazłem w sklepionym lokalu w śródmieściu i zażądałem, ze względu na panujące w mieście epidemie żołądkowe, kieliszka gorzkiej...

Niestety, Władzio, który jest także politykiem, najpierw zapytał:

— A co z wojną?...

— Powiedz mi ty — odparłem — co jest z pilznerem, a ja ci powiem, co jest z wojną!

— Oho!... Wyszedł!

— Niema pilznera, to niema i wojny! Cóż ty sobie smyku myślisz, że ja będę politykował o suchem gardle?...

Drugi raz cios taki ugodził w nasze serca... miastu, dzięki wojnie i wzmożonemu skutkiem tego pragnieniu, zabrakło znowu pilznera, a bez niego cała polityka nie warta jest funta kłaków. Przy szklance szprycera lub wody sodowej nikt chyba nie będzie robił kombinacji strategicznych i politycznych! Niech się więc Szanowny Czytelnik nie dziwi, że kronikarza ogarnia czarna rozpacz, wobec czego, zamykając opis swych kłopotów urzędowych, powrócę zaraz do osobistych.

Przedewszystkiem, więc namordowałem się dość zanim mi się udało wydebić sto koron w gótownię, które złożyłem do rąk mej czcigodnej połowicy na należyte zaprowiantowanie się na czas wojenny.

Ile mnie to kosztowało gonitwy, wie jeden tylko Pan Bóg i ja. Przekonałem się przy tej sposobności, iż, pomimo dość pokaźnego żywota, mam wybitne kwalifikacje na szybkobiegacza i kto wie, czy po wojnie nie zacznę się publicznie popisywać.

Ponieważ jestem człowiekiem nadewszystko lubiącym porządek, choć wiem, że moja czcigodna magnifika jest osobą bardzo gospodarną, zażądałem od niej zdania rachunku z owych pieniędzy.

— I owszem! — odpowiedziała — Przedewszystkiem więc kupiłam sobie żakiet jesienny...

— Kobieto! Czyś oszalała? — zawołałem z rozpaczą — A cóż będziemy jeść?

— Cierpliwości! Zaraz się dowiesz!... Potem sprawiłam kapelusze Józsi, Zuzi i Fruzi (tak się nazywają moje trzy pociechy)... Ze względu na ogłoszenie magistratu, iż należy zachowywać nadzwyczajną czystość, zaopatrzyłam się ponadto w trzy kilogramy pachnących mydełek francuskich... Jedno nawet ty dostaniesz!

— A jedzenie?

— Zaraz! Zaraz!... Co do prowiantów, to mamy już dwa pudelka pomadek, kilo czekolady, naturalnie od Piaseckiego, kilo herbatników i dużą flaszkę ekstraktu Maggi'ego. Nie zapomniałam naturalnie i o wykluwaczach, mam ich całą paczkę. Wobec tego możemy się śmiać nawet z oblężenia, głód nam nic nie zrobi! Prawda, jaka jestem gospodarna?

Zamiast odpowiedzi jęknąłem tylko cicho i zdaje się w zupełności na łaskę Opatrzności... Jeśli tymczasem nie skończę żywota (naturalnie z powodu tej gospodarności mojej kochanej żoneczki głodową śmiercią...) będę żył, czego i Szanownym Czytelnikom życzę z całego serca!

Na własną rękę zaopatrzyłem się w każdym razie w potężną flachę jenerałówki, to znakomita i wypróbowana trucizna na robaka!

Franciszek Martin, Kraków

Rynek gł. L. 6 (Szara kamienica)

poleca: ubrania dziecięce dla chłopców do lat 14, dla panienek do lat 16, oraz bieliznę, skarpetki, pończochy, wielki wybór kapeluszy i czapek. Kompletne wyprawki dla niemowląt, po nader niskich cenach.

Cenniki darmo i oplatnie.